

Prof. dr hab. Wojciech Tomasik

Instytut Filologii Polskiej i Kulturoznawstwa

Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy

Opinia o dorobku habilitacyjnym dr Ewy Rogalewskiej

Literaturoznawcy współcześni często sięgają po teksty o charakterze dokumentów osobistych, które mogą interesować też przedstawicieli innych dyscyplin – historyków, socjologów, antropologów czy psychologów społecznych. W zachodzeniu na siebie pól badawczych nie ma nic nadzwyczajnego. Więcej: jest to sytuacja raczej typowa niż wyjątkowa, normalna zwłaszcza dziś, gdy wiele mówi się o interdyscyplinarności dociekań, o potrzebie przekraczania sztywnych granic międzydyscyplinarnych, o „gatunkach zmaconych” w refleksji nad kulturą i nad sferą spraw społecznych. Słowo „pamięć” dość dawno już zagościło w słowniku badaczy literatury, dziś nabrało wszakże nowych znaczeń, bo włączone zostało w konstelację pojęć, które mają oddawać nieuchronne zapośredniczenie naszych kontaktów ze światem. Pamięć dla literaturoznawcy to tyle co od-tworzenie, re-prezentacja przeszłości, ale przede wszystkim – teksty, gdzie takie od-tworzenia i re-prezentowania obiektywizują się w słowach. Pamięć w refleksji nad literackimi świadectwami Holocaustu łączy się z kategoriami traumy, śladu, „białych plam”, wyrażalności (i niewyrażalności) doświadczeń granicznych. Słowo „wartość” („wartości”) także nie może zaskakiwać w pracy badacza literatury. Wkroczyło ono do badań literackich dawno, bo wraz z przełomem antypozytywistycznym, dziś staje się kategorią kluczową dla tych zwłaszcza, którzy na serio biorą postulaty tzw. zwrotu etycznego (etyczno-politycznego). Tytuł *Wartości pamięci* ma – jak mi się zdaje – bardzo solidne zamocowanie we współczesnych słownikach literaturoznawczych. Mógłbym nawet powiedzieć, że jest formułą *au courant*, zapowiedzią ujęcia, które czyni zadość wymaganiom nowości i świeżości. Także podtytuł książki pani dr Ewy Rogalewskiej zaciekawia, choć pojawia się w nim nieprzesadnie ostra kategoria „ludzi idei”. Tytuł i podtytuł nie muszą (a nawet – nie powinny) dawać wszystkiego, przeciwnie, mają raczej zaciekawiać, pobudzać czytelnicze zainteresowanie, swoimi niedopowiedzeniami zachęcać do lektury. Tytułatura tomu dr Rogalewskiej niewątpliwie do czytania zachęca. Daje także przepustkę do ujęcia, które nazwać by można zbliżaniem się do tematu. Tak odczytuję słowo „szkice” (a nie, dla przykładu – „studia”) i bardzo ogólną kwalifikację czasową, lokującą bohaterów narracji (tytułowych „ludzi idei”) w XX wieku. Wiek XX dla

kulturoznawców zaczął się, jak wiadomo, dużo później niż w kalendarzu, niekiedy badacze widzą jego początek dopiero w momencie zakończenia II wojny światowej, oddając pierwsze dekady stulecia pod władanie specjalistów od „długiego wieku dziewiętnastego”. Takie późne datowanie początku XX wieku dobrze harmonizuje z historią Polski i z obiegowym etykietowaniem całego stulecia. „Wiek totalitaryzmów” ujawnił bowiem pełnię swego oblicza po 1945 roku, gdy Polska, wraz z innymi państwami Europy wschodniej, znalazła się w orbicie politycznych wpływów Związku Sowieckiego.

Przegląd spisu treści ujawnia, iż znaczna część książki skupia się na świadectwach Holokaustu, dotyczy tekstów dokumentujących Zagładę Żydów na wschodnich obszarach Polski, w Wilnie i w Białymstoku. W części pierwszej (*Tablice wartości*) także znalazły się szkice odnoszące się do udokumentowań Zagłady. Znajdziemy tu jednak dwa teksty o innej tematyce: jeden, dotyczący oblawy augustowskiej z lipca 1945 roku, i drugi – o twórczości kobiet, które przetrzymywane były w początkach stanu wojennego w obozie dla internowanych w Gołdapi. Trzyczęściową całość uzupełnia szkic poświęcony Elżbiecie Feliksiak, a domyka bibliografia. Lekturę, co oczywiste, zaczynam od tytułu i spisu treści. Zwykle jednak po poznaniu tych składników metatekstowych sięgam do spisu opracowań, by zorientować się w rozległości tego, co nazywa się popularnie stanem badań. W bibliografii zamykającej książkę dr Rogalewskiej spotkała mnie niespodzianka: na liście opracowań nie ma żadnej książki ani żadnej pracy Jacka Leociaka, nazwiska tego badacza nie odnotowuje też *Indeks osób*. Wydawać by się mogło, że dla badacza „tekstów wobec Zagłady” prace Leociaka, roztrząsającego relacje z getta warszawskiego, będą ważne lub choćby godne przypisowego przywołania. Getto wileńskie (czy białostockie) miało zapewne swoją własną historię, ale relacje wileńskie powstawać musiały w podobnych warunkach, były, podobnie jak te z Warszawy, zapisami doświadczeń granicznych i choćby z tego względu dającymi się z warszawskimi porównywać. Nie ma w bibliografii żadnej pracy Aleksandry Ubertowskiej, nie ma odnotowanej jej arcyważnej książki „o literackich reprezentacjach Holocaustu”. Nie ma prac Izabelli Sariusz-Wolskiej, poświęconych „literaturze łagrowej”, choć w biografii bohaterów („ludzi idei”) zapisywał się też etap gułagowy. Nie ma... Mógłbym ciągnąć to wyliczenie, ale zaznaczę wyraźnie: o niczym ono jeszcze nie przesądza, żadna książka nie wchłania w siebie całego wcześniejszego piśmiennictwa. Gdyby chcieć to zrobić, gdyby próbować uwzględnić w swojej pracy wszystko, co byłoby uwzględnienia warte, nie byłoby szans na skończenie żadnej nowej pracy. W wykorzystanej liście opracowań powinna odzwierciedlić się zasada selekcji. Musi się ona jednak jakoś tłumaczyć, znajdować

uzasadnienie w proponowanej linii rozważań. Żeby to uzasadnienie poznać, trzeba zatem książkę dr Rogalewskiej uważnie przeczytać. Otwiera ją *Wstęp*.

Ze *Wstępu* dowiaduję się, iż mieć będę do czynienia z „tomem esejów z pogranicza literaturoznawstwa, historii społecznej i antropologii”; autorka deklaruje też, iż szkice są wynikiem zastosowania „własnej metody badawczej – połączenia analizy i interpretacji literaturoznawczej, poprzez włączenie kontekstów historycznych i psychologicznych, z kwerendami archiwalnymi” (7)¹. I daje takie oto rozwinięcie sensów, które sugerować może tytuł:

Opisani bohaterowie książki reprezentują ludzi XX w., których świat wartości i wyobrażeń odszedł już w przeszłość. Wszyscy doświadczyli totalitaryzmów – brunatnego bądź czerwonego. Wśród kategorii opisu i interpretacji badanych tekstów znajduje się pamięć i formy upamiętnienia propagowane przez występujące w książce osoby (8).

Szczególny użytek widzi badaczka w kategorii „pamięci autobiograficznej”, o której dyskutują neurobiolodzy, psychologowie i psychiatrzy. Książka ma dać „portrety osób” (11). W ostatnim akapicie wstępu mowa jest też o innych inspiracjach metodologicznych, którymi okazują się „fenomenologiczne wizje człowieka wg Romana Ingardena, Hansa-Georga Gadamera i Paula Ricoeura” (13). Trzy wymienione tutaj nazwiska spotkać można w tekście książki jeszcze tylko jeden raz – w angielskim streszczeniu (zob. 285). Są ponadto w *Bibliografii* i w *Indeksie osób*.

Pierwszy rozdział książki („*Pełniłam służbę*”. *Wanda Wachowska-Skorupska*) dotyczy wspomnień opublikowanych w tomie *Urodziłam się pomiędzy dwoma stepami*, a spisanych po latach przez zasłużoną działaczkę ruchu harcerskiego. Z noty bibliograficznej wynika, iż szkic-rozdział powstał jako recenzja wydanej w 2011 roku książki. Lektura rozdziału pobudza do stawienia wielu pytań o status analizowanego w nim tekstu. Już z przypisu pierwszego dowiadujemy się bowiem, iż chodzi o tekst osobiście wieloautorski. Czytamy bowiem: „[t]ytuł książki wg pomysłu Elżbiety Feliksiak Wanda Wachowska-Skorupska zaaprobowwała przed śmiercią” (17). Udział Elżbiety Feliksiak w komponowaniu wspomnień Wachowskiej-Skorupskiej nie ograniczył się bynajmniej do wymyślenia (zapropozowania) tytułowej formuły. Książka ukazała się w „opracowaniu” Elżbiety Feliksiak i Andrzeja Skorupskiego (syna Wandy). A to „opracowanie” (celowo używam teraz cudzysłowu) tak charakteryzuje dr Rogalewska: „Należało scalić teksty, zadecydować, którą

¹ We wszystkich przywołaniach tomu (E. Rogalewska, *Wartości pamięci. Szkice o ludziach idei w XX wieku*, Białystok 2018) lokalizację stron zamieszczać będę w tekście głównym.

wersję umieścić w druku, a także jak ułożyć kolejne rozdziały. Naturalny [sic!] wydał się chronologiczny układ wspomnień (19)”. Tom zawiera dwa aneksy, z których drugi to napisany przez Elżbietę Feliksiak esej o reprodukowanym w tomie obrazie Józefa Brandta *Modlitwa w stepie*. Esej mocno spojony jest z zaproponowanym dla tomu wspomnień tytułem. Czym zatem jest opublikowany tekst wspomnieniowy, skoro jego aranżację i metatekstową obudowę wniosła w znacznym zakresie Elżbieta Feliksiak? Jaka jest jego wartość – jako zapisu wspomnień Wandy Wachowskiej-Skorupskiej? Albo zapytam inaczej: jak potraktowana została pamięć wspominającej, skoro autorzy „opracowania” obdarzyli całość wspomnieniowej materii własną „koncepcją wydania”? Dr Rogalewska tak pisze o wspomnieniach, które przerobione zostały na wydaną książkę: „Składały się one z kilku autonomicznych tekstów pisanych w różnych wariantach, uzupełnianych i przetwarzanych przez autorkę od lat sześćdziesiątych aż do końca życia” (18). Czyj portret wyłania się z ogłoszonej w 2011 roku książki? Nie jest to w żadnej mierze autoportret, to niewątpliwa podróbka autoportretu, *ersatz*, tekst, który może dobrze się czyta, ale którego dokumentalna wartość wywietrzała na biurkach dwojga autorów „opracowania”. Zdumiewa mnie to, iż oceniany teraz szkic ujrzał światło jako recenzja. Wszak recenzowaniu podlegać winna przede wszystkim praca autorów „opracowania”. Przecież recenzując współczesną edycję *Pana Tadeusza* nie pisze się o Mickiewiczu tylko o pośrednikach, dzięki którym XIX-wieczny arcyepoemat dociera (chce dotrzeć) do dzisiejszego czytelnika. A wspólna praca Elżbiety Feliksiak i Andrzeja Skorupskiego aż prosi się, by zapytać o to, jakie prawo ma badacz (edytor) do manipulowania cudzym i bardzo osobistym tekstem? Jak taka bezceremonialna manipulacja ma się do uszanowania „świata wartości”, tego, który bliski był osobie wspominającej? Czy jedno z drugim da się pogodzić? Studiując teksty o Holocauście ich badacze wciąż na nowo pytają o to, czy mogą analizować teksty-rany, teksty-rozdzierające krzyki, teksty-intymne spowiedzi. Inny wariant tego pytania brzmi tak: kto ma (miał) prawo pisać o Holocauście? Czy pisanie (publikowanie) nie jest dowodem współwiny? Tego mianowicie, że przeżyło się dłużej niż inni, ci, o których też się pisze, a którzy milczą? Tych pytań nie ma w przywołanym teraz rozdziale. Nie ma odrobiny refleksji nad tym, co dla literaturoznawcy najważniejsze, to jest nad tekstowością (i wyrażalnością) wspomnień. Fundamentem literaturoznawstwa jest (i musi pozostawać) refleksja tekstologiczna. W szkicu o wspomnieniach Wachowskiej-Skorupskiej namysł tekstologiczny nie zjawia się nawet w śladowej formie.

Rozdział drugi, niestety, wątpliwości pogłębia i mnoży. W przypisie drugim pada wskazanie na badany tekst. W opisie bibliograficznym zjawia się nazwisko autorki (Hanna Olszewska), ale dodatkowo jeszcze – nazwisko redaktorki („red.”), Danuty Rybakowskiej. Na końcu zaś figuruje skrót „mps”, który odczytuję jako „maszynopis”. Po nazwisku redaktorki pada jednak formuła „Białystok 2001”, którą powinienem rozumieć jako wskazanie na miejsce i czas wydania. Od początku narracji dr Rogalewskiej status tekstowy wspomnień Hanny Olszewskiej nie jest sprecyzowany. Nie wiem, czy chodzi o tekst udostępniony już czytelnikom (w tym także – mi), czy tylko o maszynopis, którego w bibliotekach nie znajduję. Nie wiem, co zrobiła z tekstem Hanny Olszewskiej Danuta Rybakowska, na czym polegała redakcja, czyli – jakaś tekstowa obróbka. I co tę obróbkę cudzych wspomnień motywowało. Nazwałem tekstologię fundamentem refleksji literaturoznawczej. W rozdziale drugim wywody autorki są posadowione bez żadnych fundamentów. Piszę o tym z prawdziwą przykrością, bo nie mam żadnych wątpliwości, iż skreślenie biografii Hanny Olszewskiej wymagało dużego wysiłku. Nie ma jednak w tej pracy ani podejścia literaturoznawcy, ani warsztatu tekstologa. Materia tekstowa kolejnego rozdziału jest także bardzo wątpliwa. Jeden z króciutkich podrozdziałów zatytułowany tu został *Książka*. Słowo „pamięć” (czy wyrażenie „pamięć autobiograficzna”) zupełnie tu jednak nie pasuje, bo chodzi nie o książkę wspomnieniową Ninel Kameraz-Kos, tylko o popularne opracowanie poświęcone świętom i obyczajom żydowskim. Dr Rogalewska tak charakteryzuje zamiysł autorki: „Starła się [Ninel Kameraz-Kos] podać podstawowe informacje w prosty sposób, kierując to kompendium wiedzy o judaizmie do odbiorcy o średnim poziomie znajomości tematu” (53). Są w rozdziale przywołane, oczywiście, inne teksty, ale żaden z nich nie pozwala na doszukanie się w nim tego, co obiecuje tytuł książki, tj. śladów czyjejś pamięci o (tragicznej) przeszłości.

Najwięcej rozczarowania przynosi rozdział zamykający pierwszą część, który ma w swoim tytule słowo „pamięć”. Radykalnie zmienia się w nim perspektywa badawcza, bo przenosimy się do czasów nam współczesnych i doświadczeń stanu wojennego. Zmiana polega także na czymś innym. Po pierwsze na tym, iż – w przeciwieństwie do tekstów o ambicjach wspomnieniowych – poezja internowanych kobiet miała rejestrować przede wszystkim gołdapskie tu i teraz. Powstawała jako zapis doświadczeń bieżących, stawała się zatem rodzajem literackiej diarystyki (a nie – twórczości wspomnieniowej, spisywanej *ex post*). Po drugie, analizowane pieśni internowanych w Gołdapi kobiet były jednak „pieśniami”, nie zaś tym, co autorka nazywa we wstępie „świadectwami życia”. A właśnie jako utwory literackie pieśni powinny być badane narzędziami typowo literaturoznawczymi, z

wykorzystaniem bogatego instrumentarium poetyki. W utworze literackim (nawet tak wybitnie okolicznościowym jak analizowane pieśni z czasów internowania i stanu wojennego) ważny jest język, słownictwo, składnia, figury słowne, tworzywo metaforyzacji itp. Ważne jest wymodelowanie podmiotu: czy jest to ja, które podkreśla swą odrębność, czy ja, które wtapia się w innych i woli zatrzeć swą jednostkowość, sięgając po my, czy jeszcze jakieś inne. Czy w kreacji tego ja płęć jest eksponowana czy tłumiona? W kilkunastostronicowym szkicu nie pojawia się ani jeden rozbiór, nie ma tego, co określić by można jako praca z (interpretowanym) tekstem i praca na (interpretowanym) tekście. W rozdziale nie widać pieśni, widać tylko internowane kobiety. Zarejestrowanie twórczości internowanych stwarza niezwykle doniosłe problemy natury tekstologicznej. Np. – jak traktować pieśni, które miały różne warianty, które funkcjonowały pod różnymi tytułami. Albo: co jest tekstem autentycznym? Jak odnieść się do późniejszych redakcji tekstów? Jak przedstawia się tutaj problem autorstwa? Jak ma się twórczość internowanych kobiet do tradycji literatury ustnej, do folkloru miejskiego? Co robi w zbiorze poezji internowanych kobiet Juliusz Słowacki? Kto ma prawa do edycji pieśni układanych przez osoby internowane i jak taka edycja winna wyglądać? Jaki może być zakres ingerencji redaktorów (autorów opracowania)? Żadne z tych pytań nie zjawia się w przywoływanym teraz rozdziale. Pamięć występuje tu nie jako przedmiot badawczej refleksji (jako cudza pamięć), a raczej jako rodzaj powinności, którą współczesność ma mieć względem niedawnej przeszłości (a zatem jako nasza, czytelników, pamięć). Podobnie jak w rozdziale o obławie augustowskiej chodzi tu raczej o praktyki upamiętnienia.

Słowo „upamiętnienie” użyte jest w tytule rozdziału, który otwiera część drugą książki. Rozdział jest solidną monografią życia kulturalnego społeczności żydowskiej w Wilnie, ze szczególnym uwzględnieniem okresu wojny i gettoizacji. Przewija się tu wiele nazwisk, aparat przypisowy został mocno rozbudowany, dokumentując, iż autorka ma duże zasługi w zbadaniu tego słabo rozpoznanego wycinka polskiej historii. Powtórzę jednak to, co napisałem wcześniej: oczekiwanie tego, iż przedmiotem namysłu stanie się czyjaś pamięć i jej tekstowa obiektywizacja, pozostaje niezaspokojone. Kolejny rozdział taką perspektywę tekstową zapowiada swoim tytułem – jego tematem ma bowiem stać się „opowieść Mendla Balberyszskiego”. Chodzi, jak dowiaduję się z przypisu pierwszego, o książkę Balberyszskiego *Stronger than Iron. The Destruction of Vilna Jewry 1941-1945. An Eyewitness Account*. I znów odniosłem wrażenie, że to, co literaturoznawcę winno zainteresować przede wszystkim, w narracji rozdziałowej jest niemal nieobecne. Książka

Balberyszkiego miała bowiem swojego redaktora – syna, Teodora Balberyszkiego. Ten sam Teodor Balberyszki jest współtłumaczem tomu (razem z Abrahamem Cykiertem). Na ile zatem jest to „sprawozdanie naoczego świadka [*eyewitness account*]”? Jak dokumentarność (bycie śladem) zachowuje się w przekładzie na angielski? Przecież angielski nie był językiem Mendla Balberyszkiego, nie był językiem, którym mówił ani tym, którym myślał. Nie uważam, że dokumentów nie można tłumaczyć. Przekład stwarza jednak problemy, o które autorka zatraça, gdy na s. 34 posiłkuje się tłumaczeniem dokumentu dokonany przez tłumaczkę przysięgłą. Świadektwo zapisane „mówi” wieloma swoimi składnikami: krojem pisma (jeśli to rękopis), rodzajem atramentu, gatunkiem użytego papieru, stopniem zniszczenia. Tekst drukowany nie ocali wszystkiego, nie będzie w stu procentach wierny rękopiśmiennej wersji, która na ogół powstawała jako pierwsza. W tekście przełożonym na język, którym autor dokumentu nie włada, zakres zmian i strat będzie jeszcze większy. Dlatego najcenniejsze są świadectwa mówione, z czego dr Rogalewska zdaje sobie sprawę, skoro wykorzystuje także „źródła wywołane”, to jest nagrania na taśmę magnetofonową relacji wspomnieniowych. W przekładzie opowieści Balberyszkiego znika bezcenna warstwa indeksalności oryginalnej wypowiedzi. Co ona obejmuje? – to właśnie zadanie dla badacza literatury. Jeden przykład. Elementem, który wprowadza do tekstu wspomnieniowego bardzo istotne wymodelowanie semantyczne, jest tytuł. Wspomnienie staje się dzięki tytułowi skończoną opowieścią, daje odbiorcy (czytelnikowi) jasny sygnał tego, jak ma się wspomnieniową materię rozumieć. Tytuł odbiera wspomnieniom ich wieloznaczność, kluczenie pamięci, obsesyjne powroty tych samych wątków. Tytuł zamyka coś, co często zdaje się być (i chce pozostawać) „nie do pojęcia”, co jest anarchicznie nieuporządkowane, niespójne, wielowarstwowe. Są, z grubsza biorąc, dwa rodzaje tytułów: wymyślone przez wspominających i nadane przez wydawców. Różnica między nimi jest ogromna. Pierwsze dowodzą jakichś prób skonstruowania i zrozumienia własnej autobiografii, wpasowania się w jakiś kulturowy wzorzec osobowościowy. Są także dowodem na przewycięzenie traumy, skoro można już ją zrelacjonować i nazwać (zatytułować), budując tytułem dystans. Formuły tytułowe wniesione przez wydawców to nałożenie na cudze biografie obcych im ram. Nie wiem, jak było w przypadku opowieści Balberyszkiego. Zauważmy jednak, iż tytuł – także dla czytelnika angielskiego – musi brzmieć aluzyjnie. Czytelnik, który styka się z formułą „stronger than iron”, powinien sięgnąć do swej wiedzy o głośnej książce Mikołaja Ostrowskiego *Jak hartowała się stal*, powinien postawić Mendla Balberyszkiego obok bohatera tej powieści. Kto wymyślił tytuł i czy faktycznie jest on polem gry intertekstualnej z

quasi-autobiografią Ostrowskiego? Postawienia także takich pytań oczekiwałbym w analizowanym teraz szkicu.

Inne pytania: jak ma się angielski tom do „źródła wywołanego”, jakim była *Likwidacja getta wileńskiego*. Pisze o tym źródle autorka: „To opowieść naocznego świadka, oparta na niedawnych wspomnieniach, ewentualnie uzupełniona o wiedzę innych świadków, którzy od jesieni 1944 r. składali zeznania przed CZKH” (129). W 1967 roku Balberyszski spisał swoje wspomnienia i wydał książkę w Izraelu. Co ważne, spisał je poznawszy już inne świadectwa zagłady wileńskiego getta. W 2010 roku ukazał się wspomniany tu przekład angielski wspomnień. Dr Rogalewska pisze o nim tak: „Ich [wspomnień Balberyszskiego] edycję przygotowały dzieci autora, Debora Zuben i Teodor Balberyszski. Tłumaczem książki był Abraham Cykiert, zmarły w 2009” (132). Te dopowiedzenia autorki jeszcze bardziej zaciemniają status „opowieści”. W opisie zamieszczonym na początku szkicu jako redaktor książki podany został tylko Teodor. W tym samym opisie przekład ujęty został jako dzieło pary: Teodor Balberyszski – Abraham Cykiert. Cykiert zmarł przed wydaniem tomu *Stronger than Iron*, w ostatnich korektach być może nie brał już udziału, cały ciężar spadł zapewne na barki Teodora. To wszystko jednak pozostać musi w sferze domysłów, rozdział o „opowieści” pozostawia wiele otwartych pytań.

Rozdział o pamięci Józefa Muszkata zaczyna się wskazaniem podstawy tekstowej. Przypis informuje: „AYV, 03/3748. Relacja Józefa Muszkata (kopia relacji znajduje się w AIPN BU, 2323/1115)” (137). Brakuje mi tu informacji o okolicznościach „wywołania” tego źródła: co skłoniło Muszkata do złożenia relacji? ile było w tym „wywołaniu” jego inicjatywy? jaki zamiar przyświecał instytucji źródło wywołującej? Przede wszystkim jednak – kiedy doszło do powstania analizowanego w rozdziale źródła? Nie mam też pewności, czy w relacji istotnie zapisuje się „analityczna pamięć”. Nie przekonuje mnie tryb referowania wspomnień, gdzie ani przez moment nie pojawia się wahanie co do stopnia wiarygodności informatora. Przykładu może dostarczyć przypis szósty, gdzie znalazło się takie oto przetworzenie relacji: „Muszkat zaprzeczył też zdecydowanie, jakoby Herman Kruk był przez trzy dni szefem policji, gdyż nigdy z policją ani z Gensem nie miał nic wspólnego” (138). Z zapewnienia złożonego w relacji („źródle wywołanym”!), że nie miało się z kimś nic do czynienia, wcale nie wynika, iż tak, jak mówi wspominający, faktycznie było. Pamięć ludzka, po pierwsze, jest zawodna. Po drugie, jest – by tak rzec – interesowna: pamięta się to, co chce się przenieść z przeszłości, mówienie o sobie jest nieuchronnym tworzeniem jakiejś wersji życiorysu. Po trzecie, ludziom zdarza się kłamać – z różnych powodów, które wcale

nie muszą być jasne nawet dla niemówiących prawdy. Przy okazji omówienia szkicu o Muszkacie chcę się upomnieć o to, co w teorii wiedzy historycznej nazywane jest krytyką źródeł. Krytyka źródeł to elementarna procedura, której musi zostać poddane przez historyka wszystko, co mu dostarcza wiedzy o przeszłości. Relacja Muszkata jest tzw. źródłem pośrednim. Żeby takiemu źródłu zaufać, trzeba ocenić jego autentyczność i stopień wiarygodności. Wiarygodność bada się, konfrontując jeden przekaz z innymi, historyk nie może nigdy zaufać tylko jednemu źródłu, nie powinien łudzić się przekonaniem, że jego informatorem jest ktoś, kto chce dać świadectwo prawdzie. Badanie przeszłości musi być oparte na podejrzliwym sondowaniu motywacji każdego informatora. Pani Rogalewska referuje (auto)biogram Muszkata: „opuścił getto w ostatniej kolumnie mieszkańców” (140). Może Muszkata opuścił getto w ostatniej kolumnie, a może nie. Pewne może być tylko, iż tak swoje wyjście z getta Muszkata w badanej relacji przedstawił. Czy wystawił tym świadectwo swej „analitycznej pamięci”? Tego, niestety, nie wiem.

Rozdział o pomocy, jakiej Żydom na wschodnich Kresach udzielali Polacy, przynosi ponury obraz rozstrzeliwań dokonywanych w podwileńskich Ponarach. Wiedzę o Ponarach zawdzięczmy m.in. zapiskom Kazimierza Sakowicza. Jest to źródło bezcenne. Doczekało się ono edycji jako *Dziennik pisany w Ponarach od 11 lipca 1941 r. do 6 listopada 1943 r.*, w opracowaniu Racheli Margolis. Pani Rogalewska wspomina też o litewskim przekładzie z 2012 i w przypisie (w nawiasowym uzupełnieniu) daje informację, która – moim zdaniem – winna stać się ważnym wątkiem jej rozważań o formach zapamiętywania Holocaustu i o sposobach obchodzenia się z cudzymi świadectwami. Ze wspomnianego uzupełnienia wynika, iż dziennik Sakowicza poprzedzony został obszernym wstępem, ale nadto wydano go wraz ze skanami oryginałów zapisków. Ta litewska wersja (niestety, nie miałem możliwości jej obejrzenia) pokazuje, iż dokumentalna wartość nie ogranicza się do tego, co zostało zapisane, ale wyraża się także w oprawie indeksalnej tekstu, którą przenieść może do edycji tylko dobrej jakości skan. Nie miałem w ręku angielskiego wydania, którego podjęła się Rachela Margolis, nie wiem zatem, jak ono wyglądało. Ale polskie były dwa – z 1999 i z 2012. Obie polskie edycje różnią się tytułami (*Dziennik pisany w Ponarach od 11 lipca 1941 r. do 6 listopada 1943 r.* i *Dziennik 1941-1943*), różnią się też opracowaniem. W pierwszym wydaniu mamy: „rozszyfrowała i opracowała Rachela Margolis”, w drugim – „przedmowa i opracowanie Maria Wardzyńska”. Literaturoznawcze pytania rodzą się z zestawienia obu edycji, a następnie – z porównania ich z edycją angielską, hebrajską i litewską. Takie zestawienie pozwoliłoby wrócić do kwestii fundamentalnych: jak badać świadectwa

Holocaustu? Jak przekazywać te świadectwa? Jak przenosić je do innych wspólnot językowych? Jak rysuje się tożsamość kulturowa twórców takich świadectw? Jaki jest ich najbardziej osobisty język i sprzężony z nim świat pojęć?

Rozdział poświęcony Marii Renacie Mayenowej daje sporo informacji dla mnie zupełnie nowych, ale, niestety, powiela też w znacznym zakresie informacje dobrze znane, wpada w koleiny wypowiedzi popularnonaukowej, jest zatem zaadresowany przede wszystkim do kogoś, kto o zasłużonej badaczce literatury niewiele wcześniej słyszał. Dla czytelnika, który o polskim literaturoznawstwie ma orientację słabą, przeznaczone są też biograficzne dane odnoszące się do Manfreda Kridla. Na s. 192 wymienieni są goście zaproszeni do Warszawy na konferencję o poetyce. Był wśród nich Victor Erlich (nie: Orlich; w tej formie nazwisko zawędrowało też do *Indeksu osób*).

Część zatytułowaną *Straznicy pamięci* otwiera szkic *Dzieło Mordechaja Tenenbauma*. Tytułowym „dziełem” jest archiwum getta białostockiego. Zainteresowanie pani dr Rogalewskiej skupia się jednak przede wszystkim na innym dziele, a mianowicie na korespondencji Tenenbauma z Bronią Winicką-Klibańską, którą to wymianę listów tak charakteryzuje:

W licznej grupie literackich świadectw [Z]agłady pochodzących z białostockiego getta są to wyjątkowe utwory. Listy owe, pisane w większości w Białymstoku w latach 1943-1945, pierwotnie były tekstami prywatno-użytkowymi (207-208).

Część informacji o badanym „dziele” trafiła do przypisu, gdzie mamy:

Rękopisy listów w języku polskim znajdują się w Muzeum Bojowników Getta w Izraelu. Niniejszy artykuł powstał na podstawie maszynopisu pt. *Listy Bronki*, który zawiera czterdzieści nieregularnie numerowanych stron. Ponadto listy zostały opublikowane drukiem w języku hebrajskim w: B. Klibański-Winicki, *Ariadne...*, s. 144-203 (208).

Jeszcze dalej czytamy:

Maszynopis *Listy Bronki* zawiera: dwa oddzielne wstępy do listów Mordechaja Tenenbauma i Broni Winickiej-Klibańskiej (autorstwa Michała Klibańskiego), tekst Broni pt. *O Mordechaju Tenenbaumie garść wspomnień* (napisany w Zurychu 6 lipca 1951 r.), a także jej wstęp do listów przygotowanych do druku (napisany w Jerozolimie 20 lipca 1956 r.) oraz korespondencję Mordechaja do Bronki (marzec-sierpień 1943 r.) i Bronki do Mordechaja (sierpień 1943 r. – styczeń 1945 r.) (209-210).

Dlaczego korespondencja Mordechaja i Broni miałaby należeć do grupy „literackich świadectw Zagłady”? Jeśli już mielibyśmy mówić o literackości, to nie w odniesieniu do

samej tej wymiany listów tylko do późniejszej ich edycji. Co byłoby jednak tą edycją i co jest przedmiotem analiz w przywoływanym szkicu? Chodzi o maszynopis, który składa się z czterdziestu nieregularnie numerowanych stron. Czy Bronia przeniosła (chciała przenieść) do niego wszystko? W jakim celu to zrobiła? Kto dał maszynopisowi tytuł? Czemu *Listy Bronki* nie zostały wydane? I – czemu w tytule nie ma Mordechaja, a pozostała jedynie Bronka? W jakim stopniu przepisane na maszynie listy pozostały świadectwami? Na ile można o tej korespondencji mówić jako o „dziele Mordechaja Tenenbauma”, skoro w redagowaniu wersji maszynopisowej nie brał on żadnego udziału? Tom izraelski, gdzie ujrzała światło część listów, jest zapisany na s. 207 tak: „*Eadem* [= B. Klibanski], *Ariadne*, Tel Aviv 2002”, a na następnej stronie już tak: „B. Klibanski-Winicki, *Ariadne*...”, a stroną dalej autorka identyfikuje tę samą osobę jeszcze inaczej, pisząc o „Broni Winickiej-Klibańskiej”. W bibliografii mamy: „Klibanski B., *Ariadne*, Tel Aviv 2002” (306). Nazwisko ustanawia tożsamość. Zamieszanie, jakie wynotowałem, może odzwierciedlać powojenne zawirowania losów (świadczą też o zmianie stanu cywilnego kobiety). Tu w grę wchodzi raczej elementarne niedopatrzenie ze strony autorki, brak uwagi w przenoszeniu do opisów szczegółów charakteryzowanego świadectwa.

W rozdziale o „strażnikach pamięci” pojawia się fragment końcowy, który nosi tytuł *Polityzacja i manipulacja przy temacie Sprawiedliwych*. Chodzi w nim o trudności, na jakie natrafiły próby uhonorowania polskich rodzin z Dworzysk w Puszczy Knyszyńskiej tytułami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Starania te, jak wynika z relacji pani Rogalewskiej, trwały ponad trzydzieści lat. Ten długi czas mógłby skłonić badaczkę do refleksji na temat świadectw i tego, czym są świadectwa Holocaustu. Nie można, rzecz jasna, wykluczyć, iż przeciąganie się procedury to wynik biurokratycznego podejścia urzędników z Yad Vashem. Te trzy dekady starań można było jednak zinterpretować inaczej: jako dyskusję o tym, co jest świadectwem i kto jest informatorem wiarygodnym. Opór urzędników z Yad Vashem wynikał, jak mi się zdaje, z bardzo restrykcyjnego pojmowania tego, co jest źródłem wiarygodnym. W tej postawie mogło być sporo przesady, ale wynikała ona w pierwszym rzędzie z ostrożności, by prestiżowy tytuł Sprawiedliwych nie trafił w ręce osób przypadkowych, o zasługach wątpliwych bądź zgoła żadnych. Administracyjna udręka, którą dr Rogalewska referuje, powinna stanowić preludium do poważnej dyskusji o tym, jak trudno dziś przeszłość wskrzesić i jak trudno jest przekonać do jednej wersji własnej (i cudzej) biografii.

Bardzo podobny problem wyłania się ze szkicu poświęconego Icchakowi Aradowi (Rudnickiemu). Ten zasłużony historyk, wydawca prac o Holocauście i wieloletni dyrektor Instytutu Yad Vashem, oskarżony został przez władze Litwy o współpracę z NKWD i udział w zbrodniach dokonanych na Litwinach i Polakach. Nie mam pojęcia, czy zarzuty stawiane Aradowi były zasadne. Jak rozumiem, do procesu nie doszło, ale na biografię Arada padł cień. W tę strefę cienia mógłby wkroczyć historyk – nie po to, bynajmniej, by wyręczać organy ścigania. Biografia Arada wydaje mi się odzwierciedlać to, czego dr Rogalewska nie chce zauważać. Myślę tu, iż w czasie Zagłady w biografiach wielu osób pojawiały się szarości. Przypomniałbym w tym miejscu książkę Zygmunta Baumana *Nowoczesność i Zagłada* i jej główną tezę – iż Holocaust nie obciąża tylko innych. Tragedia lat Zagłady polegała między innymi na tym, iż granice oddzielające katów od ofiar rozmywały się, chęć przeżycia skłaniała do moralnych ustępstw, do rezygnowania z postawy heroicznej. Pani Rogalewska „ludzi idei” chce traktować jako pomniki chwały, jako nieskazitelne wzorce zachowań, które wzbudzać winny podziw i szacunek. Przypomnę jednak to, co pisał Tadeusz Borowski, a co musi historyk brać w rachubę: świadectwa zostawiali ci, którzy przeżyli nierzadko kosztem tego, że nie chcieli być herosami, że nie dołączyli do pierwszego szeregu walczących. Przetrwanie jednych nader często oznaczało śmierć innych. Ci inni często nie zdążyli w żaden sposób niczego zaświadczyć. Odeszli niemi. Nie mam pojęcia, czy urzędnicy z Yad Vashem znają Borowskiego, nie wiem, na ile zgadzają się z diagnozą Baumana. Ich pracy patronuje jednak przekonanie, iż Sprawiedliwy to ktoś, kto spełnia najwyższy pułap wymagań moralnych.

W *Epilogu* dr Rogalewska kreśli sylwetkę Elżbiety Feliksiak. Hołdy swej nauczycielce składa pani Rogalewska już wcześniej. Takim hołdem jest m.in. wykorzystanie do analizy *Listów Bronki* przedwojennej pracy Stefani Skwarczyńskiej, którą przypominała Elżbieta Feliksiak w edycji z 2006 roku (przygotowanej we współpracy z Mariuszem Lesiem). Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż pani dr Rogalewska traktuje swą opiekunkę naukową jako autorytet. Czy jednak nie przyjmuje wyborów swojej mistrzyni za bardzo bezkrytycznie? *Teoria listy* Skwarczyńskiej powstała ponad 80 lat temu, od tego czasu literaturoznawstwo zmieniło się nie do poznania, przybyło wiele nowych prac, także tych, które dotyczą teorii epistolografii. Szacunek dla mistrzyni nie powinien zwalniać z krytycyzmu. *Teoria listu* wydana została w 2006 roku jako zabytek literaturoznawczego piśmiennictwa, nie wszystko pewnie zdezaktualizowało się w tej rozprawie, można ją zapewne jeszcze dziś używać, potrzebna jest jednak do tego ostrożność i świadomość, że

nawet najlepsze prace wchodzą kiedyś w etap starzenia się. Stają się zabytkiem, który składa się na historię swojej dyscypliny.

Biografia Elżbiety Feliksiak powstaje u pani dr Rogalewskiej z tekstów, którym badaczka przypisuje idealną przezroczystość. Tę samą przezroczystość demonstrują inne biogramy „ludzi idei”, dlatego *Wartości pamięci* czytać muszę jako książkę o ludziach, nie zaś o tekstach, które stają się opornym i niekiedy zawodnym materiałem rekonstrukcyjnym. Nie ma w książce pani Rogalewskiej żadnej próby sproblematyzowania pisarstwa biograficznego, podobnie – nie ma namysłu nad pułapkami autobiograficzności. Wykorzystane teksty nie stawiają badaczce żadnych oporów, wszystkie idealnie do siebie pasują, dając podstawę do snucia opowieści, w której nie ma „białych plam” i miejsc, gdzie rysunek postaci musi pozostać poplątany. Nawet najbardziej bogaty zasób źródeł nie pozwala stworzyć pełnego wizerunku. Biografia musi dać pozór pełni i skończoności, którą zwykle osiąga się wpisując czyjeś życie w ramy: urodził(a) się – zmarł(a). Tylko że poza tymi ramami nic nie może być oczywiste, a żadne kryterium selekcjonowania biograficznych drobin nie powinno wydawać się pewne i bezdyskusyjne. Polska biografistyka literacka zna pojęcie „brązownictwa”. Rzadziej przywołuje się neologizm Pigonia, które użyty został w polemice z książką Boya – „brązoburcy”. Daleki jestem od stwierdzenia, iż biografistyka (nie tylko literacka!) jest grą między „brązownictwem” a „brązoburstwem”. W książce dr Ewy Rogalewskiej brakuje mi fundamentalnego pytania, które sformułowałbym tak: po co i dla kogo pisze się czyjąś biografię? W analogiczny sposób mogłoby brzmieć pytanie dotyczące uzasadnień dla pisarstwa autobiograficznego. Biografię i autobiografię składa się zawsze dla kogoś i po coś. Nie ma życiorysu spisywanego bezinteresownie, układanego w próżnię. Przeszłość poznaje się zwykle z myślą o terażniejszości i dla terażniejszości. Także narracje o ludziach z przeszłości („ludziach idei w XX wieku”) muszą być uwikłane w spory dnia dzisiejszego.

Kategoria bohatera spaja refleksję literaturoznawczą z historiograficzną. W książce dr Rogalewskiej ta kategoria nie podlega teoretyzacji, jest przyjęta bezrefleksyjnie, używana jako oczywistość. Od badacza „ludzi idei”, od piszącego o osobach zasłużonych dla historii XX wieku oczekiwałbym tymczasem refleksji nad procesem tworzenia bohaterów (czy – szerzej – „fabrykowania” postaci publicznej, „wytwarzania wielkiego człowieka”). Spodziewałbym się choćby odesłania do prac Jerzego Topolskiego (np. do książki *Jak się pisze i rozumie historię*) i do koncepcji „integratorów”, którzy powoływani są przez teksty („nie ma bohaterów w jakimś sensie ‘obiektywnym’, niezależnym od języka”). Chciałbym

upomnieć się tutaj o ważną książkę Zygmunta Bauman *Płynne życie* (Kraków 2007) i o jej rozdział o bohaterstwie (*Od męczennika do bohatera i od bohatera do gwiazdora*). Bardzo żałuję, że decydując się stąpać po pograniczu literaturoznawstwa i antropologii pani Rogalewska do tego tomu nie sięgnęła. Bauman pisał o bohaterze w kontekście dwóch innych ról – męczennika i gwiazdora, stawiając tezę, iż „'Bohater' w nowoczesnym wcieleniu narodził się wraz z epoką tworzenia się narodów [...]”, a dalej: „Epoka tworzenia się państwa-narodu musiała być czasem bohaterstwa – a ściślej rzecz biorąc b o h a t e r s k i e g o patriotyzmu [podkreśl. w oryginale]”. Czasy współczesne fundują swoim społeczeństwom inny rodzaj zwornika. Zapewniają go „gwiazdy”: gwiazda to ktoś, kogo znają wszyscy. Szkic Baumanu prowokuje do postawienia pytania o to, czy faktycznie wyszliśmy już z epoki „bohaterstwa”, czy patriotyzm, tak silnie związany z ideą nacjonalizmu, współcześnie nie zużył się, nie stał się postawą archaiczną, którą demonstrować da się dziś tylko w skansenie. Czy w zjednoczonej Europie pamięć o bohaterach narodowych ma szansę zawojować umysły młodych? Historia Holocaustu przenika dziś do komiksów, trafia zatem do medium, które kojarzy się z czynami Supermana i perypetiami He-Mana. Czy to dobrze, czy źle? Książka dr Ewy Rogalewskiej pozostawia na uboczu problemy, które powinien, moim zdaniem, podjąć badacz współczesności. Zwłaszcza ten, który deklaruje połączenie opcji literaturoznawcy z perspektywą, jaką otwierają dzisiejsze studia kulturowe. „Ludzie idei” to bez wątpienia bohaterowie. Przedstawieni w książce *Wartości pamięci* j a k o bohaterowie. W ich biografiach dr Rogalewska trzyma się konsekwentnie tego ważnego dla kultury modelu osobowościowego. Nie czynię z tego zarzutu. Upominam się jednak o refleksję nad losami bohater-stwa w epoce, w której wysoko ceni się bycie gwiazdą. Bycie gwiazdą bywa ulotne, jest niekiedy sprawą jednego tylko sezonu. Gwiazdom wszakże wznosi się pomniki, a w nich przecież wyraża się pretensja do wiecznego trwania. Z kolei bohaterów nierzadko się z piedestałów strąca i odsyła w społeczną niepamięć. Przykład księdza Jankowskiego może pokazywać, iż statusu bohatera nie można zagwarantować bezzwrotnie. Szkoda, że pani dr Rogalewska tak mało miejsca w swej książce poświęciła „miejscom pamięci”, pomnikom czy innym instalacjom, które mają być dla społecznej pamięci podpórką. Szkoda, że tak skąpo napisała o likwidacji białoostockiego cmentarza przy ulicy Żabiej (zob. 241) i o tym, jak zawłaszczano pamięć o Holocauście, jak żydowska martyrologia musiała po wojnie ustępować miejsca (dosłownie!) świadectwo martyrologii polskiej. Zacierający ślady swej wielokulturowości Białystok nie był żadnym wyjątkiem. Żydowskie cmentarze zniknęły z pejzażu wielu miast polskich. W dawnych synagogach mieszczą się dziś kina, domy kultury i pływalnie. Czy słabe upamiętnienie osób, o których pisze dr Rogalewska, nie bierze się z

tego, iż są to wciąż jeszcze i c h bohaterowie? Za polską niepamięć o Holocauście wini dr Rogalewska komunistyczne rządy. Dodać trzeba, iż tę praktykę zapominania mocno wspierała instytucja, której ufała znaczna część Polaków. Myślę o Kościele katolickim.

W dorobku podoktorskim pani dr Rogalewskiej, oprócz omawianej tutaj książki, są jeszcze inne prace². Niestety, w żadnej z nich badaczka nie demonstruje podejścia literaturoznawczego. Jest to dorobek ilościowo bogaty. Ma niewątpliwie znaczną wartość poznawczą. Dowodzi wielkiego wysiłku włożonego w docieranie do archiwów i rozmaitych źródeł. Dotyczy on historii getta w Wilnie i w Białymstoku. Przebogaty materiał źródłowy nie stał się jednak przedmiotem dociekań literaturoznawczych ani kulturoznawczych. Nie trafił na warsztat badacza literatury. Zacząłem swe uwagi o książce od opinii o brakach w jej bibliografii. Teraz mogę dopisać, iż braki te nie są przejawem jakiejś zaplanowanej strategii, lecz skutkiem bardzo poważnych niedomagań warsztatowych. Napisałem sporo o tekstologicznych brakach, nie będę więc już do tej sprawy powracał. Wspomnę tylko, iż badanie pamięci pojmuję jako analizę dokumentów, w których pamięć ta się obiektywizuje. Refleksja nad wspomnianiem nie może brać w nawias tego, iż jest nam one dostępne tylko w tym zakresie, w jakim zostanie przetworzone w tekst – mówiony bądź pisany. Pani dr Rogalewska jest niewrażliwa na rozmaite transformacje takich wspomnieniowych tekstów. Zwykle są one bowiem dostępne w postaci wtórnej – jako już wydane, przez kogoś opracowane i skomentowane. W całej książce nie ma pytań o zasadność czyichś wyborów lub rozwiązań edytorskich. Klasyczne prace z zakresu teorii tekstologii i edytorstwa (Konrada Górskiego, Jana Trzynadłowskiego, Romana Lotha) nie zostały w najmniejszym stopniu wykorzystane. Nieprzydatne okazały się dociekania Jacka Leociaka nad osobliwym statusem świadectw Zagłady (z części pierwszej książki *Tekst wobec Zagłady*). W bibliografii nie ma Zygmunta Baumana, są za to liczne pozycje zupełnie niewyzyskane, a tylko rejestrowane. Przykładem niech będą prace Gadamera, Ingardena i Ricoeura. W zastawieniu *Opracowania* znalazły się prace Marii Renaty Mayenowej, o których pani Rogalewska tylko wcześniej wspomina. Nie poddaje ich żadnej analizie, nie bierze z nich żadnych narzędzi. Nie są to w żadnej mierze wykorzystane opracowania, nie składają się one na „stan badań”. To samo odnosi się do odnotowanych w rubryce *Opracowania* prac autorskich i redakcyjnych Elżbiety Feliksiak. Dla zamieszczenia nazwisk Bergsona, Junga i Mieleńskiego tekst główny książki dostarcza uzasadnień bardzo wątpliwych.

² Z przeglądu wyłączam książkę, która powstała z rozprawy doktorskiej (*Getto białostockie. Doświadczenie Zagłady – świadectwa literatury i życia*, Białystok 2008), a która doczekała się wznowienia (Białystok 2013).

Jak wynika z autoreferatu, pani dr Ewa Rogalska ma duże zasługi w popularyzacji wiedzy o Holocauście i wielokulturowości Kresów. Brała udział w kilku ważnych projektach badawczych, dotyczących tych zagadnień.

Wszystkie wcześniejsze uwagi i opinie zmuszają mnie do wystawienia negatywnej oceny. Stwierdzam, że dorobek podoktoratowy pani dr Ewy Rogalewskiej nie spełnia kryteriów, które w regulacjach prawnych nakładane są na habilitację.

Wojciech Tomaszek